

Indusi mówią: mamy dość

2 stycznia 2009

Przy wejściu na Pahar Ganj, popularny delhijski bazar turystyczny i zagłębienie tanich hotelików, stoi stara, drewniana bramka z przyczepionym wykrywaczem metali. Bramkę obsługuje dwóch policjantów z lathi, długimi bambusowymi pałkami. Obok przelewa się barwny tłum: tragarze z koszami na głowach i rykszarze, turyści z plecakami i sprzedawcy orzeszków, naganiacze hotelowi i stateczne matrony w sari.

Bramka pika cały czas, choć nikt przez nią nie przechodzi – włącza się, bo wszyscy naokoło przenoszą coś z metalu. Policjanci patrzą na tłum, łuskają pestki. Tłum się przelewa. W plecaku, koszu, w taksówce można na Pahar Ganj wwieźć wszystko. Jeśli wnieść tam bombę, zabiłaby setki osób. Tak wyglądały jeszcze do niedawna zabezpieczenia antyterrorystyczne obok głównego dworca kolejowego w New Delhi.

Teraz – po nowym roku i Bombaju – wszystko ma się zmienić, bo błyskawicznie rosnąca i bogacąca się klasa średnia została wyrwana z sielanki. Już wie, że wszystkie jej samochody, domy i oszczędności są na nic, jeśli państwo nie potrafi jej dziś zapewnić bezpieczeństwa. – To był szok. Oni zabijali takich, jak my – mówili młodzi, dobrze wykształceni Indusi.

Dlatego w grudniu tysiące Indusów wyszły na ulice przeciwko terroryzmowi. Tłumy ludzi, którzy w największej demokracji świata za niecałe pół roku będą wybierać władze, piętnują nieudolność rządu, opozycji – wszystkich polityków bez wyjątku. I to może być czynnik decydujący o tym, kto będzie rządził największą demokracją świata przez najbliższe lata.

Jeszcze do niedawna terroryzm w Indiach był traktowany po macoszemu. Kolejne rządy mówiły, że „trzeba zaradzić temu problemowi”, media pisały o zamachach niechętnie i krótko,

wszyscy żyli obok problemu i ze stoickim spokojem przyjmowali zamachy. „Wybuch w Assam, pociąg bliski wykołajenia”, „Atak na posterunek policji w Uttaranchal, zginął oficer”, pół szpalty tekstu – i już. Inaczej było tylko w przypadku dużych zamachów w miastach, kiedy wybuchały bomby.

Ale takich Indie widziały stosunkowo niewiele – aż do momentu, kiedy na dworcu w Bombaju dwóch chłopaków w dżinsach i koszulkach z nadrukami nie wyjęło z plecaków kałasznikowów, i nie zaczęło metodycznie zabijać. Wtedy wszystkie gazety i telewizje nagle opisały i opowiedziały dobrze znaną, ale nie nagłośnioną historię.

W ubiegłym roku w zamachach terrorystycznych w Indiach zginęło przynajmniej 2,3 tys. osób. Średnio to sześć osób dziennie. „Indie są jednym z państw najmocniej dotkniętych terroryzmem” – napisali w tym roku amerykańscy analitycy z Departamentu Stanu w raporcie o zamachach na świecie. Ale to dane niepełne – ostrzegają indyjskie instytuty badawcze, które zajmują się bezpieczeństwem. Nie ma w nim ujętych wszystkich incydentów na prowincjach, daleko od Delhi, gdzie maoistyczna partyzantka walczy z policją o władzę, kaszmirskie organizacje niepodległościowe porywają ludzi, a separatyści z Assamu zbierają haracz od miejscowych.

Ile jest takich aktów terroru, wiedzą tylko władze lokalne. I jeśli nie stanie się coś naprawdę złego, niechętnie dzielą się tą wiedzą z Delhi.

– Terroryzm jest największym zagrożeniem dla stabilności naszego państwa, musimy walczyć o odzyskanie naszego państwa – mówił premier Manmohan Singh po wybuchach kolejnych bomb w tym roku. Wtedy na Connaught Place, w samym centrum stolicy, bomby zabiły 20 osób. Ponad 100 było rannych. Connaught Place to delhijskie corso: tam spotykają się pary, przychodzi się do modnych restauracji, tam są kina, w których wypada się pokazać. Wcześniej duże bomby wybuchały w Bangalore – nowoczesnym centrum technologicznym – i Ahmedabadzie,

znaczącym mieście na zachodzie.

To tak, jakby ktoś w Polsce przeprowadził w jednym roku zamachy w Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu.

Do ataków przyznali się Indyjscy Mudżahedini, czyli grupa fundamentalistów islamskich. – Bombaj jest oczywistym kolejnym celem ataku – mówili wtedy policjanci i analitycy. Islamscy radykałowie to grupa najczęściej obwiniana o zamachy. Indyjscy Mudżahedini, zdelegalizowana grupa Student Islamic Movement of India czy Lashkar e-Taiba (Armia Prawych, oskarżana o zamachy w Bombaju) deklarują, że walczą z hinduistycznym uciskiem muzułmańskiej mniejszości w Indiach.

Konflikt między hinduistyczną większością (ośmiu na dziesięciu Indusów to hinduiści) i muzułmańską mniejszością (13 proc., czyli ok. 130 mln ludzi) był zawsze, ale zaostrzył się po uzyskaniu niepodległości w 1947 roku. Po podziale brytyjskiej kolonii na Indie i Pakistan, który miał być w założeniu państwem muzułmańskim, przez sztucznie narysowaną granicę nowych państw popłynęły tłumy. Ponad siedem milionów wyznawców islamu zebrało dobytek i ruszyło do Pakistanu, ponad siedem milionów hinduistów i sikhów – do Indii. To, co zdarzyło się podczas Podziału, obrosło w ponurą legendę jako okres wyjątkowego okrucieństwa.

Gwałty, rabunek, morderstwa, masowe pogromy religijne – radykałowie obu stron nie przebierali w środkach, byle pozbyć się sąsiadów innego wyznania. Pamięć o krzywdach jest w wielu domach cały czas żywa, choć na co dzień muzułmanie i hinduiści żyją obok siebie, a meczety stoją niedaleko od hinduistycznych świątyń. Również bieda – w Indiach ponad 300 mln ludzi żyje za mniej niż 40 centów dziennie – nie ma zabarwienia religijnego.

Ale islamiści uważają inaczej. – Bronimy naszych braci muzułmanów, którzy dostają od państwa mniej niż zwykli hindusi. Bronimy tych, którzy giną w Kaszmirze, którzy walczą o niepodległość – deklarują islamscy fundamentaliści. Kaszmir

to od początku niepodległości punkt zapalny między Indiami i Pakistanem. Stamtąd właśnie wywodzą się separatysty kaszmirscy, którzy żądają przyłączenia tego skrawka terytorium do Pakistanu – albo niepodległości. Władze w Delhi nie chcą o tym nawet słyszeć i powtarzają: islamskie grupy terrorystyczne są finansowane przez Pakistan, przez wszechmocny wywiad ISI.

Skrajną odpowiedzią na islamski fundamentalizm jest radykalizm hinduistów. – Muzułmanie rozplenili się niesamowicie. Musimy dbać o nasz kraj, o jego indyjskość – mówią liderzy radykalnych ugrupowań, takich jak Rashtriya Swayamsevak Sangh, czyli Narodowa Organizacja Ochotników. Liderzy RSS twierdzą, że hinduizm to nie tylko religia – ale też sposób na życie. A muzulmanie nie chcą tego sposobu przyjąć.

W Maharastrze, stanie w którym leży Bombaj, wielkie wpływy ma Shiv Sena – Armia Śiwy. To legalna partia, która rządziła w latach 90. w Bombaju. Zmieniła wówczas nazwy dworców i ulic tak, by były bardziej hinduistyczne, a samo miasto przemianowała na Mumbai. Tajemnicą poliszynela jest, że Armia Śiwy ma swoje bojówki, które tropiły w Bombaju muzulmanów. – Zagrożenie islamskim terrorem rośnie. Czas przeciwstawić mu terror hinduistyczny. Hinduistyczni zamachowcy, nawet samobójcy, powinni być gotowi na poświęcenie – żeby zapewnić istnienie hinduistycznego społeczeństwa i narodu – pisał Bal Thackeray, szef Armii Śiwy w gazecie partyjnej.

Na odzew przyszło nieco poczekać, ale kiedy już nadszedł, zszokował: w listopadzie policja aresztowała komórkę dziesięciu fanatyków, którzy przygotowali zamach na jedno z miast w Maharastrze. Był wśród nich kapłan hinduistyczny i oficer wojska.

Indusi byli wstrząśnięci: po pierwsze tym, że szafranowi radykałowie tak urosli w siłę pod boki policji. Po drugie wiadomością, że skrajne organizacje hinduistyczne penetrują nie tylko biedne przedmieścia, ale również instytucje państwa. Możliwe, że w lutym podłożyli również bomby w pociągu

przyjaźni z Delhi do Lahore – zginęło wtedy kilkadziesiąt osób. – Chlubą armii indyjskiej zawsze było to, że pozostawała świecka i bezstronna. Teraz musimy na nowo spojrzeć na żołnierzy – pisali publicyści największych dzienników po wykryciu spisku.

Ale Indiom grożą nie tylko fundamentaliści religijni; grozi też państwo maoistów. New Delhi najczęściej mówiąc o terrorystach, myśli – „islamiści”. Ale największym terrorystycznym problemem rządu Manmohana Singha było do zamachu w Bombaju nie to, jak zapanować nad radykałami, ale jak wyplenić naksalitów, partyzantkę maoistyczną. Tę samą, która próbuje wyrwać niemal jedną piątą kraju spod jurysdykcji Delhi.

Partyzanci działają od schyłku lat 60. Zaczęli jako mała grupka domagająca się praw najbiedniejszych do ziemi w wiosce Naksalbari w Bengalu Zachodnim w 1967 roku. Dziś na jednej trzeciej terytorium Indii walczą o rewolucję w największej demokracji świata.

Są silni: piętnaście tysięcy regularnych żołnierzy i kilkadziesiąt tysięcy zwolenników kontroluje albo częściowo kontroluje jedną piątą terytorium Indii. Walczą w 160 z ponad sześciuset dystryktów państwa. Przede wszystkim tam, gdzie władza jest najsłabsza i najmocniej skorumpowana: w biednych stanach ciągnących się z północy na południowy zachód indyjskiego subkontynentu: w Chhattisgarh, Orissie, Andhra Pradeś, Biharze. Atakują posterunki policji, toczą regularne bitwy wojska, stworzyli Strefy Specjalne – obszary, gdzie nad urzędem gminy powiewa nie trójkolorowa flaga Indii, ale czerwona flaga maoistów. Polecam mapę, na której widać, w których dystryktach naksalici są obecni – to 20 proc. Indii!

Legends krążą o posterunkach naksalitów, którzy grzecznie proszą pasażerów samochodu o myto – a jeśli pasażerowie nie chcą się podzielić, ścinają im głowy. Ku przestrodze, żeby dzielić się z biedniejszymi. – To państwo w państwie – mówią

wojskowi. I mają rację. Naksalici wprowadzili na terenach, na których rządzą własne prawo, znieśli własność prywatną, prowadzą szkoły, szpitale na terenach, gdzie indyjskie państwo nie dociera. Właśnie dlatego są popularni: pracują z dziesiątkami milionów niepiśmiennych wieśniaków, którzy zostali na marginesie szybkiego indyjskiego wzrostu. I rosną w siłę.

Kiedy CNN-IBN, jedna z indyjskich wiodących telewizji pokazała reportaż z „Czerwonego Korytarza”, czyli z dżungli opanowanej przez naksalitów, Indusi byli w szoku. Zobaczyli wieśniaków, którzy chcą żeby rządził nimi Janatana Sarkar, czyli Rząd Ludowy, dzieci bawiące się w policjantów i maoistów (policja przegrywała). Zobaczyli zupełnie autonomiczny system sądowy, podatkowy, zdrowotny, szkolnictwo, kina wyświetlające propagandowe filmy nakręcone przez maoistów. – Władze nas zawiodły – mówił do kamery jeden z wieśniaków, który wyjaśniał, czemu jego wioska chroni maoistów i chce być częścią Partyzanckiej Armii Ludowej, a nie Indii. – Ściągali od nas podatki. Dwie rupie za krowę, jedną za osła. I nie chronili. Tylko ciągle chcieli pieniędzy. Nie tak, jak nasze wojsko.

Indusi się złością.

Bardzo podobne zdanie padło w tym tygodniu, tysiące kilometrów od regionu naksalitów. – Nie zapłacimy im żadnych podatków. Może wtedy się opamiętają. Władze przepuszczają miliony. I nic! Bomby są, jak były – mówiła w wywiadzie dla telewizji NDTV Simi Garewal, znana bollywoodzka aktorka. Tłum demonstrantów pod hotelem Tadź Mahal, w którym tydzień temu przez 61 godzin terroryści zabijali cywili, stworzył żywy łańcuch przeciwko terroryzmowi. Wiwatował, i powiewał transparentami: „Żądamy końca terroru, żądamy odejścia polityków”. W Dolinie Krzemowej Indii, czyli Bangalore, właściciele firm nie poprosili, ale postawili władzom ultimatum: chcemy ochrony. W Kalkucie przeciwko nieudolności polityków protestowali studenci, w Chennai – lekarze.

Legendarny stoicki spokój Indusów wyparował.

Dlaczego? Tym razem zamachowcy uderzyli w młodych, wykształconych, bogacących się. To oni mają dostęp do mediów, skrzykują się przez internet na demonstracje, mogą wywierać nacisk na władze. Właśnie dlatego nazywają zamachy w Bombaju indyjskim 11 września. Terroryści uderzyli w serce nowoczesnych, rozwijających się Indii. Zabijali w prestiżowych hotelach i zabijali zamożnych, którzy dziś są w szoku.

Dzisiaj właśnie rodząca się w Indiach klasa średnia – lekko licząc kilkadziesiąt milionów ludzi – zorientowała się, że choć ma pieniądze, kupuje samochody i mieszkania, nie jest bezpieczna. To odkrycie było szokiem; dlatego wielokulturowe i tolerancyjne Indie zareagowały na terroryzm, jak nigdy wcześniej. Na ulicach pod hotelami w Bombaju co wieczór są demonstracje: na początku setki ludzi opłakiwało zabitych; później palili świece i znicze. Jeszcze później – nieśli transparenty „Mamy dość”. Teraz żądają, żeby władze miliardowego państwa w końcu coś zrobiły z terrorystami. Boją się, że będą następni.

Atak terrorystów może Partię Kongresową drogo kosztować. Do końca maja muszą się odbyć wybory parlamentarne w Indiach. Największy konkurent Kongresu, populistyczna i nacjonalistyczna Indyjska Partia Ludowa, (BJP) już oskarża Kongres o nieudolność i ostrzy zęby na ministerstwa w Delhi.

Ten rok będzie dla Indii przełomowy – okaże się, jak bardzo potrafią walczyć z terroryzmem, jak mocna jest ich gospodarka w czasie kryzysu. Indusi sprawdzą też, czy ich klasa średnia już w ich państwie coś znaczy politycznie. I dokąd popchnie w 2009 r. największą demokrację świata.

Autor: Maciej Kuźmich

Źródło: [Świat Inaczej](#)